

RENE BURES.

Zil=X...

15) tłumaczyła z francuskiego MARYA SEGENY.

— Ani słowa więcej! — zawołał stary błędną nagle. — Ani słowa więcej, powtórzył ze złością tupiąc nogą. Tu nie chodzi o mojego syna! Niech się pan nie wtrąca w nie swoje rzeczy! Ja się tylko mogę zajmować panem Jerzym Damblease.

— Jak się panu podoba — wymówił spokojnie Dalton przypatrując mu się ciekawie.

— Tak mi się podoba — zaakcentował silnie stary Damblease. — Nie mam zamiaru oglądać tego pana, póki siedzi w więzieniu. Niech się sam broni. Ja mogę mu tylko pomóc, ale widzieć go nie chcę!

— Dobrze. Jednakże, może względem pana okazałby się może mniej skrytym. Mogłoby nam być pomocnym.

— Nie!

— Dobrze.

— Nie chcę go widzieć, słyszy pan, nie chcę go widzieć!

— Do woli pana.

— Jakże są najbliższe pana projekta?

— Uczynić poszukiwania w pawilonie kapitana, zanim policja zjawi się tam z powiornym śledztwem. Chcę temu koniecznie zapobiedz.

— My to mamy uczynić?

— My.

— Nie rozumiem jakim sposobem możemy zabronić policji, aby nie uczyniła poszukiwań w tym pawilonie.

— Bardzo łatwym.

— Niech pan mówi!

— Tej nocy zapobiegniemy drugiemu śledztwu na zawsze.

— Ale jak? jak?

— Popelnimy poprosu czyn karygodny — oświadczył spokojnie Dalton.

Na te słowa aż podskoczyłem na krześle ze zdumienia.

— Czyn karygodny? — zawołał stary Damblease.

— Oh! niech się pan uspokoi — wyrzekł flegmatycznie Dalton — powiedziałem czyn karygodny, a nie zbrodnię.

— Jakto?

— Tej nocy dostaniemy się do pawilonu kapitana do Limandoux.

— Tam są pięćście, Dalton. Czyś zapomniał?

— Złamaliśmy je.

— W nocy...

— Okoliczność pogarszająca sytuację...

— Będzie nas kilku...

— Druga okoliczność niedodatkowa.

— Będziemy uzbrojeni.

— Oto właśnie chodzi.

— Będzie awantura.

— Trzecia okoliczność przeciwko nam.

— Dom jest zamieszany.

— Czwarta i ostatnia okoliczność potępiająca nas — wymówił flegmatycznie Dalton.

— Narażamy się na zesłanie na ciężkie roboty — rzekł Damblease.

— Tak. I pan również.

— Mnie nie chodzi o życie.

— Dla mnie są to nieodłączne ryzyka mojego zawodu. Ale ty, Vallorbe?

— Wiesz, że wszędzie pójdę z tobą.

— Dziękuje ci. Zresztą poco dyskutować nad czymś co się stać musi.

— Niech się dzieje wola Boża — oświadczyłem z uśmiechem.

— Ja zdaję się na przypadek — zaprzeczył zgryźliwie doktor Damblease.

Poza prawem.

Północ.

Na prostej równej drodze pędził automobil o sile sześćdziesięciu koni. Księżyc już gasł zapadał się za wzniesieniami, które ciemną linią przeznęwały horyzont przed nami.

Siedzieliśmy wygodnie oparci o miękkie poduszki nie przerywając milczenia od wyjazdu. Było nas czterech, Dalton, Rene Damblease, ja i jeszcze jedna osobistość, o twarzy wygolonej, której nie znałem wcale. Na ławeczce obok szofera siedział jeszcze jeden podróżny.

Przejechaliśmy Paryż i pędziliśmy teraz ku Saint-Denis. Automobil nasz był silnie oświetlony wewnątrz elektryczną lampką, druga zaś lampka na tyle oświetlała numer naszego wozu.

— Czy długo jeszcze jechać będziemy ku północnej stronie? — przerwał w końcu milczenie doktor Damblease, który od pewnej chwili zaczął zdradzać silne zniecierpliwienie.

— Jeszcze chwilę — odparł zimno Dalton. — Ale prawda nie zapoznałem jeszcze panów — nieprawdaż?

Wskazał ręką człowieka siedzącego naprzeciw mnie i dodał:

— Mój przyjaciel, 42.

— Co pan mówi? — podchwycił żywo stary Damblease unosząc się na siedzeniu.

— Mówię mój przyjaciel 42.

— Co to znaczy?

— Wybacz mi, mój kochany Vallorbe, ale nawet tobie nie mogę zdradzić kim jest ten pan. Są pomiędzy nami ajenci, przybywający z różnych stron i z przyczyn najrozmaitszych, nie mogę zdradzić ich. Zresztą, ten numer 42 jest bardzo wygodnym w codziennych stosunkach. Ma nawet pewny odcień amerykański, który powinien się podobać jak sądzę.

— Nieznajomy, na te słowa Daltona uśmiechnął się porozumiewawczo.

— Ten, który siedzi obok szofera — ciągnął dalej mój przyjaciel — posiada także swój numer 53. Co zaś do szofera, niezapominajcie panowie, że jest to numer 11.

— Doskonale — odparłem, postaramy się zapamiętać te numery.

— Ekscentrycznej! Nadzwyczaj ekscentryczne — szepnął stary Damblease.

Przedem praktyczne — dorzucił Dalton.

— Czy mógłbym zapytać — wyrzekł ironicznie Rene Damblease — do czego służą te dwa olbrzymie łańcuchy z kłótkami, które pan wrzucił przed wyjazdem do automobilu i które czuję tu, pod nogami. Chyba niema pan zamiaru ujarzmić nimi dzikich zwierząt.

— Oh! nie! — zaśmiał się swobodnie Dalton. Służą one do zatrzymania tych, którzy nas ścigają.

— Tych, którzy nas ścigają!... — powtórzyłem ze zdziwieniem.

— Tak, możesz się przekonać...

Odwróciłem się szybko i uniosłem firankę zasłaniającą tylne okienko.

W odległości dwustu lub trzystu metrów dojrzałem przy blasku księżyca, automobil pędzący z zagaszonymi latarniami.

— Czy jesteś pewnym, że to nas ścigają? — zapytałem.

— Tak. Tego nie mogliśmy uniknąć. Dlatego też nie usiłowałem przedsięwziąć większych ostrożności.

— Ale...

— Mój kochany — przerwał mi Dalton — niechże nas ścigają skoro się im to tak podoba.

— Księżyc zachodzi — możemy zgubić ten automobil.

— Nie przejmuję się tem wcale. Zresztą czy nie mamy ze sobą tych łańcuchów, zdolnych do wiązania dzikich zwierząt, jak się dowcipnie wyraził pan Damblease?

— Co to za żart? — zapytał żywo starzec. — W jakąż to grę bawi się pan z nami? Chciałbym to wiedzieć.

— Zaraz się pan dowie — odrzekł spokojnie Dalton.

— Numer 42! Czy wszystko gotowe?

— Człowiek, który odpowiadał temu numerowi uderzył dwukrotnie w przednią szybę wozu na co otrzymał jakiegoś kabalistycznego znaki czynione przez numer 53.

Dalton zaś równocześnie przycisnął mały guziczek, wkręcony w ramę okna. Ciemność nagle ogarnęła automobil.

Wyjrzałem przez tylne okienko wozu. Księżyc już nie świecił i cała droga tonęła w ciemnościach.

— Nic nie widać — szepnąłem.

— Oh, bądź spokojny oni są za nami. Oni widzą naszą tylną latarnię.

— Zgaśmy ją i uciekajmy.

— Nie! Mamy coś lepszego do roboty.

Automobil podązał już teraz wolniej.

Ajenc 53 pochylony w tył zdawał się obserwować drogę. Numer 42 również pochylił się nisko, Dalton zaś się uśmiechał. Spostrzegłem w końcu, że numer 42 ciągnął ku sobie olbrzymie łańcuchy, oglądał je uważnie i układał równo. Poczem wyjął z kieszeni dwa klucze i sprawdził sprawność klódek.

Z głębi zaś pojazdu, Rene Damblease otulony po oczy w futro, przypatrywał się nam wszystkim bacznie.

Nagle automobil podskoczył kilkakrotnie. Przejechaliśmy przejazd jakiś. Ujrzałem z boku światelko błyszczące w oknie niskiego domku.

— To tutaj — oznajmił Dalton.

Szofer w tej chwili zagasił latarnię. Zupełna ciemność pochłonęła nas. Nagłym ruchem numer 42 otworzył drzwiczki i trzymając łańcuchy w ręce rzucił się naprzód.

Wyskoczyłem za nim.

— Nie oddalaj się — rzucił mi Dalton.

Automobil zatrzymał się.

Numer 53 zeskoczył z kozła.

— Dalej! do roboty! — zawołał.

I obydwaj biedz szybko zaczęli.

Ten, który miał ręce wolne, skoczył w stronę, z której przybyliśmy i z całych sił zatrzasnął usiłował baryerę przejazdową. Ciężka baryera nie zgrzytnawszy nawet na zawiasach zasunęła się wydawszy tylko lekki, głuchy oddźwięk.

Wówczas obydwaj ajenci rzucili się na ziemię, przymocowywać zaczęli obydwaj łańcuchy do baryery i przymocowali ją do żelaznego słupka, przekręciwszy starannie klucze w klódkach.

Teraz już rozumiałem wszystko.

Z ciemności szedł ku nam głuchy pomruk automobilu. Siedzący w nim ajenci policyi, musieli być zdziwieni unieruchomieniem automobilu Igginsa, którego numer porządkowy, obowiązkowo oświetlony odcinał się wyraźnie na ile nocy.

— Uciekajmy — szepnął teraz numer 53. — W małym domku ruszać się coś zaczyna!

Rzeczywiście, cień jakiś mignął w oknie domku. Drzwi otworzyły się ostrożnie i ktoś stanął na progu z latarką w ręce.

— Znowu apasze! Do stu piorunów — zaklął głos jakiś gniewny.

Przy brys u latarni doszregłem, że stróż baryery trzymał rewolwer w ręce.

Pochyleni nisko nad ziemią dobiegliśmy do automobilu, stojącego o dwadzieścia metrów odległości. W tej chwili ostatnia latarnia, latarnia oświetlająca nasz numer, zagasiła nagle.

Automobil już nie mógł widzialnym być dla nikogo.

— Zrobione — oświadczył numer 53 — wskazując na siedzenie obok szofera. Jedźmy?

Numer 42 zajął już także swoje miejsce. Ja zaś ociagałem się jeszcze ze wsiadaniem:

— Poczekajmy jeszcze chwilę — rzekł Dalton.

Jedną nogą zawisł na stopniu wpatrując się w ciemność, gdzie migotała tylko latarka stróża przejazdu.

— Czy rozumiesz teraz? — zapytał Dalton,

— Wspaniale — odpowiedziałem. — Co za doskonały pomysł.

— Muszą teraz z jakie dwie godziny przepilnowywać te łańcuchy. Pozbyliśmy się ich bardzo łatwo.

— Na coś jeszcze ciekawy?

— Chciałbym bardzo dowiedzieć się, k'o się znajduje w automobilu. To są oczywiście ajenci policyjni, ale którzy? Czy Markas jest pomiędzy nimi? A ty czy nie doszregłeś jego sylwetki?

— Nie, nic nie widziałem. Ich auto musiało się zatrzymać dosyć daleko za baryerą.

— Tak — odparł Dalton. — Lecz musieli wystać jednego z pomiędzy siebie, aby zbadał przeszkodę. Oni nie wiedzieli, że tu znajduje się baryera przejazdowa.

Gdy Dalton domawiał tych słów, ostry wystrzał rewolwerowy rozdarł powietrze.

— Doskonale — zaśmiał się Dalton! — Stróż przejazdu strzela do nich biorąc ich za apaszów.

Kilka wystrzałów rozległo się jeszcze.

— O to coś już poważniejszego — szepnął Dalton. Oni odpowiadają na strzały.

Nastąpiła dłuższa chwila ciszy.

— Czyżby wszyscy byli zabici?

— O, niema obawy, oni się tylko wzajemnie pilnują. Ale to już nie nasza rzecz. Jedźmy!

— Lecz w tej samej chwili, rozległ się nowy wystrzał. Ujrzałem błysk zapalonego prochu i równocześnie usłyszałem za sobą krzyk przeraźliwy, ginący w śmiertelnym jęku.

Numer 53 powalił się z ławeczki na ziemię i nie drgnął więcej.

Instynktownym ruchem zapaliłem zapalną. Numer 53 leżał przed nami z raną w oku, z której strugami płynęła krew na ziemię.

— A do kroćset! — zaklął Dalton.

Wywał mi z wsćiekłością zapalną z ręki i rzucając na ziemię zawołał:

— Czyś ty oszalał?

(Ciąg Dalszy Nastąpi).